

ZBIGNIEW GLUZA, ADAM KRZEMIŃSKI, BEATA MACHUL-TELUS,
PAULA SAWICKA, JOANNA TALEWICZ-KWIATKOWSKA,
ARTUR SZYNDLER, PIOTR TROJAŃSKI

DYSKUSJA: POLSKA DLA POLAKÓW?

Piotr Trojański: Pytanie „Polska dla Polaków?” jest chyba dobrze znane. Towarzyszy nam, od kiedy zaczęliśmy się zastanawiać, jaki charakter powinien mieć nasz kraj, jaki kształt powinny przyjąć stosunki między obywatelami, na ile istotną rolę w tych relacjach powinna odgrywać kwestia etniczności i narodowości.

Polska była krajem wielonarodowym przez wieki. Przed wojną prawie co trzeci mieszkaniec był innej narodowości, innego wyznania. Po wojnie sytuacja zmieniła się diametralnie. Teraz mamy zaledwie około trzech procent różnie definiowanych mniejszości etnicznych i narodowych oraz bliżej nieokreśloną liczbę imigrantów. Jednak wciąż zadajemy sobie to pytanie. Trzeba podkreślić, że polskie prawo stoi na stanowisku poszanowania różnic narodowościowych oraz religijnych. Gwarancje te zapisane zostały zarówno w konstytucji, jak i wielu ustawach. Mimo to w dalszym ciągu pojawiają się problemy z ich przestrzeganiem. Pytam zatem: Na ile hasło: „Polska dla Polaków” jest dzisiaj aktualne? Kto je przywołuje? Co rozumiemy przez to pojęcie (pytanie) oraz w jaki sposób na nie reagujemy – zarówno w kontekście indywidualnym, społecznym, jak i prawnym? Zanim oddam Państwu głos, pozwolę sobie przywołać dwa skrajne przykłady reakcji organów prawa i sądownictwa na to hasło. Pierwszy, gdy w 2007 r. odbyła się demonstracja Narodowego Odrodzenia Polski we Wrocławiu, jej uczestnicy zostali oskarżeni o propagowanie haseł nacjonalistycznych i rasistowskich, ponieważ jednym z haseł demonstracji było: „Polska dla Polaków”. Sąd powołał biegłego, który orzekł, że hasło jest nacjonalistyczne, jednak nie ma podstaw twierdzić, że ma ono wymiar rasistowski. Drugi przykład pochodzi z Hajnówki koło Białegostoku, gdzie jedna z osób właśnie za propagowanie tego hasła została skazana na prace społeczne. Tam sąd inaczej ocenił to samo hasło.

Zbigniew Gluza: Nie będziemy się przecież zastanawiać, czy hasło „Polska dla Polaków” jest racjonalne. Gdyby tak przyjąć, to już blisko do konstatacji, że to kraj dla Polaka, katolika, koniecznie heteroseksualnego, rasy białej, najlepiej mężczyzny... Absurd. Hasło jest ksenofobiczne, nie daje pola do dyskusji.

Ważne raczej, skąd się ono bierze i dlaczego pojawia się w Polsce. Myślę, że warto na chwilę wrócić do historii, choćby XX w. Dla kogo w istocie była Polska? Nie zdarzyła się wtedy sytuacja optymalna, nie ma więc dobrego punktu odniesienia.

Pod zaborami Polska była „dla nikogo”; w gruncie rzeczy była wyobrażeniem, zadaniem dla etnicznych Polaków: odzyskania podmiotowości, odbudowania państwa. To jest punkt wyjścia, określający po 1914 r. bieg zdarzeń następnego stulecia. W gruncie rzeczy – do dzisiaj, choć współcześni słabo zdają sobie z tego sprawę.

II Rzeczpospolita była „dla wszystkich”, którym zdarzyło się znaleźć w polskich granicach, a zbyt wielu z nich nie akceptowało tego faktu. Polska zaś nie umiała się zająć nie-Polakami w obrębie swego terytorium, w wielu z nich widząc wrogów. Obustronna nieakceptacja zaciążyła tragicznie, gdy nastąpiło nieszczęście II wojny. Polska skupiona na celu zasadniczym – odzyskaniu niepodległości, mobilizująca do obrony swój naród, nie odwoływała się już do „wszystkich swych obywateli”, w istocie nie wierząc w lojalność „innych”. Polska nawet potencjalnie nie była już dla nich. Stąd czasem ponure reakcje z ich strony – i trudne do przyjęcia wówczas, i uzasadniające przyszłą wzajemną wrogość.

Polska powojenna, propagandowo jednonarodowa, była w istocie karykaturą państwa. Była Polską dla Polaków fasadowych, zideologizowanych, przykrojonych na sowiecką modłę. Z wyjątkiem „solidarnościowego” wyłomu (1980–81), było to państwo głównie dla swych funkcjonariuszy. Reszta trwała w nim bezwładnie, pogodzona z tym lub nie, ale nie mogłaby raczej uznać, że to kraj dla niej.

Aż do przełomu ustrojowego nie było Polski prawdziwej – o dojrzałym, świadomym obywatelstwie. To też naznaczyło zdarzenia późniejsze.

Co stało się w III RP? Najpierw przez 15 lat niemal żadnej refleksji historycznej, potem 10 lat zdominowania tej refleksji przez politykę, która ciągle zdaje się zaciemniać odpowiedź na pytanie: kim my właściwie jesteśmy? I to pytanie: Polska dla kogo, jaka Polska? – jest właściwie kluczowym pytaniem o własną tożsamość już niepodległego kraju. To pytanie stawiane jest w pewnym sensie na nowo, tak rzadki jest namysł, dla kogo jest Polska. Mam wrażenie, że na to pytanie jest kilka odpowiedzi, ale jesteśmy dopiero na progu takiej rozmowy.

Polska powinna być dla Polaków – w takim sensie, by raczej do niej przyjeżdżali, a nie wyjeżdżali. Emigracja trwa w tak wielkim wymiarze, że można wątpić, czy Polska jest dobra dla nas samych.

Polska powinna być też dla tych, którzy świadomie wybierają ten kraj na miejsce życia, niezależnie od powodów, dla których tego chcą. A jest ona czasem dla nich okropna.

I wreszcie potencjalnie: Polska jako koncept społeczny, którą można by wybierać między różnymi państwami-wartościami. Zdarzało się, że mieliśmy atuty, ale – roztrwoniliśmy.

Paula Sawicka: Różnie podchodzimy do tematu „Polska dla Polaków?”, bo każdy z nas ma jakąś skazę. Zbigniew Gluza ma skazę historyka, ja mam skazę psychologa. Ale to może dobrze. Jak rozumieć znak zapytania postawiony po tym często wykrzykiwanym dziś hasle i czy naszym celem jest dziś próba odpowiedzi na tak postawione

pytanie? Bo moim zdaniem odpowiedź jest krótka – Polska jest dla ludzi! Natomiast samo hasło jest dla mnie przede wszystkim symbolem. Symbolem wszystkich haseł i znaków nienawiści, jakie spotykamy na murach naszych miast, haseł wykrzykiwanych na stadionach albo niesionych na transparentach, wygłaszanych przez ludzi na ulicach i z trybuny sejmowej. Te hasła nawołują do wykluczenia nie-Polaków i do nienawiści, a my, tu zebrani, zgodzimy się, że są w sferze publicznej czymś niewłaściwym, niestosownym, szkodliwym. Bo to, o czym przed chwilą mówił Zbigniew Gluza, jest też bardzo szerokim i ważnym pytaniem o to, jakiej chcemy Polski. Czy chcemy Polski dającej przyzwolenie na ideę wyrażoną w hasle „Polska dla Polaków”, za którym podążają kolejne: „Żydzi do gazu”, „Cyganie do gazu”, „Wypędzimy z Polski pedałów”? Tego właśnie symbolem jest dla mnie to hasło i chciałabym na tym się w dyskusji skupić.

Kolejne pytanie, które sobie postawiłam: Kto te hasła głosi? Dotąd mówiło się, bagatelizując problem, że to margines, nieokreślony sfrustrowany element. Trzeba uświadomić sobie, że rzadko je głoszą nieokreśleni osobnicy, a raczej zorganizowane grupy radykalne o subkulturowym lub politycznym charakterze. W dzisiejszej Polsce nawiązują one programami, hasłami i nazwami do przedwojennych polskich organizacji, skrajnie nacjonalistycznych, faszyzujących czy wręcz faszystowskich, nawet do takich, które zostały w II RP zdelegalizowane. Myślę tu o Narodowym Odrodzeniu Polski czy Młodzieży Wszechpolskiej. Wystarczy zajrzeć na ich strony internetowe, przeczytać programy i założenia ideowe, żeby znaleźć wszystko to, co przed wojną głosili ich poprzednicy. Kto i dlaczego przystępuje do takich grup, kogo przyciągają? Badania pokazują, że w znacznej mierze młodych ludzi – i to z różnych powodów. Bywa, że powody są towarzyskie, czasami polityczne, bo komuś się wydaje, że tą drogą może coś poprawić, zmienić, zwłaszcza że przyczyna zła – obcy – jest jasno wskazana. Potrzeba wyładowania agresji i nienawiści, jak się często sądzi, wcale nie jest dominująca wśród młodych ludzi wchodzących do grupy. Ale te grupy są tak zorganizowane, że rządzi w nich kultura przemocy. Ich struktura i hierarchiczność gwarantują, że członkowie wykonają to, co płynie z góry. Samo uczestnictwo w dobrze zorganizowanej wspólnocie może być nagradzające, ale też w ten sposób jej członek socjalizuje się do głoszenia nienawiści, oswaja się z agresją jako formą ekspresji.

Te hasła oraz wszelkie dla nich uzasadnienie składają się na mowę nienawiści, czyli język służący wzbudzaniu i rozpowszechnianiu nienawiści, niechęci, wrogości do ludzi lub grup ludzi ze względu na określone cechy. Te cechy to: rasa, narodowość, etniczność, wyznanie, światopogląd religijny lub jego brak, płeć, tożsamość seksualna, wiek, niepełnosprawność.

Powstają pytania: Co zrobić z tymi organizacjami, skoro zgodzimy się, że czynią one społeczne zło, że ich działalność jest społecznie szkodliwa? Czy je delegalizować jak w II RP, czy pozwolić działać? Odpowiedź nie jest łatwa. Z jednej strony uważa się, że takie organizacje łatwiej kontrolować, jeżeli działają jawnie; widać, co robią ich człon-

kowie, jakie mają plany i można się starać zapobiegać negatywnym zjawiskom. Gdy zdelegalizowane schodzą do podziemia, ich kontrolowanie jest znacznie trudniejsze, zatem jest to kwestia dyskusyjna. Na świecie i w Europie ciągle rozważa się ten dylemat.

Na koniec pytanie chyba najważniejsze: Czy we współczesnym świecie możliwe jest zrealizowanie postulatu, żeby jakiś kraj był krajem jednej tylko narodowości, żeby Polska była tylko dla Polaków? Nie ma wątpliwości, że to idea niemożliwa do zrealizowania w demokratycznym państwie. Jednak z drugiej strony zarówno w Polsce, jak i w Europie obserwujemy zjawisko zwiększania się poparcia dla partii głoszących podobne hasła, organizacji prawicowych i skrajnie prawicowych. W efekcie ich język przenika do życia publicznego. Następuje zjawisko nazywane przez socjologów patologizowaniem normalności – to, czego jeszcze niedawno nie mówiło się publicznie, nagle zaczyna być obecne w języku mediów i debaty parlamentarnej. To, jakim językiem mówimy, jest bardzo ważne. Zjawisko patologizowania normalności właśnie na tym polega, że język nienawiści, jakim przemawiają przedstawiciele skrajnych ugrupowań, przenika do języka polityki. W Polsce drastycznym tego przykładem była wypowiedź, jaka z trybuny sejmowej padła po wyborze Baracka Obamy na prezydenta USA, że jest to „koniec cywilizacji białego człowieka”. Ta wypowiedź, zdawałoby się niedawno jeszcze niedopuszczalna, nie spotkała się ze szczególnie ostrym potępieniem.

Adam Krzemiński: Wszyscy w Europie mamy ogromny problem z tożsamością narodową, ponieważ żyjemy w mitach XIX-wiecznych. One są chmurą, która przesłania spojrzenie na współczesność. Narody, których jesteśmy częścią, są tworem XVIII i XIX w. Obserwujemy też sakralizację narodów, która zastąpiła sakralizację władzy kościelnej. Pojawiają się hasła: „Polska dla Polaków”, „Niemcy dla Niemców”, „Francja dla Francuzów” i inne podobne. Są to hasła, które świadczą w gruncie rzeczy o kryzysie tożsamości.

Wróć do Polski. Mamy taki problem, o czym Zbigniew Gluza już mówił, że w 1945 r. został ulepiony naród, którego nigdy nie było, tzn. naród przesunięty z lewa na prawo. Dziesięć milionów Niemców zostało wysiedlonych czy wypędzonych. Różnica polega na tym, że o wypędzeniach można mówić do Poczdamu, a o wysiedleniach – potem. Jest jeszcze kwestia ludzi, którzy zostali wysiedleni ze wschodu, ale nie byli nazywani nigdy w polskiej tradycji wypędzonymi, nawet sami tak o sobie nie mówili.

Kategoria wypędzenia ma wymiar i wydźwięk biblijny, służy sakralizacji narodu. Dopiero od niedawna używa się w Niemczech pojęcia wypędzeni również w odniesieniu do nie-Niemców. W latach 50. i 60. XX w. było inaczej.

Wracając do Polski – nasz problem polega na tym, że uchodzimy i postrzegamy siebie jako naród homogeniczny. Jednocześnie każdy ma rodzinną biografię, która – gdyby się dokładniej przyjrzeć – jest jednak wielonarodowa; nie wiem, jak głęboko statystyczny Polak jest w stanie sięgnąć do rodzinnej historii, ale kto sięgnął, ten

tę niehomogeniczną wielokulturowość i wielonarodowość odkrył. Jesteśmy wszyscy spadkobiercami I Rzeczypospolitej, która bynajmniej nie była tylko Rzeczpospolitą Obojga Narodów, lecz państwem zamieszkiwanym przez kilkanaście najróżniejszych grup etnicznych, nie mówiąc już o wyznaniowych.

Jako germanista mam wyczulone na to spojrzenie, bo np. druga żona, a może to była trzecia czy piąta żona Mieszka, była Niemką, nie mówiąc już o Chrobrym, który też miał za żonę Niemkę. To znaczy – od początku tysiąclecia historii Polski obecny jest też ten element niemiecki, nie mówiąc już o osadnictwie od XIII w., o Prusach Królewskich, w których polskie sejmiki używały języka niemieckiego, uważając się za obywateli Rzeczypospolitej. Ten element językowy, kulturowy od reformacji był bardzo silny. I to jest kompletnie wyparte z polskiej świadomości, że nikt z nas, żadna rodzina nie jest czysto polska.

Gdyby zapytać: Kim ty jesteś?, to odpowiedź brzmiałaby w stylu Stanisława Orzechowskiego z XVI w.: *Canonicus cracoviensis, nationae polonus, gentae rutenus, orginae judeus*, co znaczy: Jestem polskim szlachcicem, pochodzę z Rusi, czyli gdzieś tam ze Lwowa i mam żydowskich przodków. To jest ta wielokształtna tożsamość, która była częścią Rzeczypospolitej jeszcze w okresie porozbiorowym, czyli w XIX w. Tak się wielu określało. Natomiast chłopci polscy w ogóle do narodu politycznego Polski nie należeli, do narodu politycznego zostali przyłączeni lub też sami się przyłączyli jako katolicyści chłopci pod koniec XIX w. Czyli jesteśmy zlepkiem najróżniejszych tradycji stanowych, etnicznych, religijnych i na to nałożony jest kompletnie anachroniczny mit powstańczo-wojenny.

Jak przyglądam się marszom 11 listopada – czy to jest marsz prezydencki, marsz Wszechpolaków, czy wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego w Krakowie – nie mają one nic wspólnego mentalnie, ale to jest w gruncie rzeczy ten sam nurt: wojenno-powstańczy przy bardzo różnych kulturach. Nie ma nic wspólnego z dzisiejszą Europą to odwoływanie się do szabelki, a jeszcze gdzieś tam tankietka jeździ przed pomnikiem. Jest pokłonienie się, ale nie ma na przykład przy Drodze Królewskiej w Warszawie pomnika księcia Adama Czartoryskiego, jedyne wielkiego polityka polskiego w XIX w., który był niekoronowanym królem Polski w hotelu Lambert – premiera rządu powstańczego, który był również przypadkowo i ministrem spraw zagranicznych cara Aleksandra. On się nie mieści po prostu w kanonie polskiego rozumienia historii. Mamy de Gaulle'a, ale nie ma pomnika Churchilla, któremu jakby nie było zawdzięczamy rok 1940 – to, że ta Polska dzisiaj jest [...]. My pamiętamy tylko epizod Powstania Warszawskiego i niemoc Anglii w latach 1944–45. Obrażamy się na Churchilla, na Roosevelta kompletnie irracjonalnie, nie rozumiemy uwarunkowań historycznych, politycznych, militarnych. Traktujemy historię podobnie jak infantylne dziecko, obrażone, że świat go nie kocha, trochę tak jak Putin dziś postępuje, ale my mamy na szczęście nieco inną kulturę pod tym względem.

I teraz, wracając do zasadniczego problemu, jakim jest „Polska dla Polaków” – ja się tego hasła nie boję. Rozumiem oczywiście, że psycholog musi dmuchać na zimne i obawiać się, że faszystoidalne ruchy z lat 20. i 30. XX w. mogą zatruć życie polityczne. Dla mnie to jest czkawka okresu międzywojennego, niemająca nic wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością. Wynika z bezradności wobec współczesnego świata, niezrozumienia rzeczywistości – stąd sięganie do wzorców nieprzystających ideologicznie i organizacyjnie do dzisiejszego świata. On jest kompletnie inny.

Jesteśmy na progu nowej migracji, wielkich wędrówek ludów w Europie, gdzie również narody będą inaczej rozumiane. Ładnie tutaj wczoraj było powiedziane o patriotyzmie konstytucyjnym. To jest pojęcie niemieckie, autorstwa Jürgena Habermasa, a ma rzeczywiście konotacje anglosaskie. My w ogóle nie zastanawiamy się, czym jest naród. Czy naród jest decyzją krwi i ziemi – to znaczy genów oraz zakorzenienia na pewnym terytorium, czy naród to jest kwestia języka i kultury, czy wreszcie naród to jest pojęcie obywatelskie, a więc rozumienie i akceptacja pewnych wartości zapisanych w konstytucji państwa narodowego, ale też w konstytucjach europejskich, które składają się na coś w rodzaju *European Dream*, innego niż amerykański, innego niż marzenie rosyjskie, którego nie ma dzisiaj, co widzimy po Putinie.

To marzenie rosyjskie jest takie, jak Putin je formułuje: zagrabieć ziemie ze względów strategiczno-gospodarczo-militarnych, a naród rosyjski to tylko ten, który mówi po rosyjsku. Nie ma w tym ani carskiej, ani komunistycznej misji podboju świata, bo mamy właściwą ideologię marksizmu-leninizmu, tam nie istnieje coś takiego jak rosyjskie marzenie.

Istnieje natomiast marzenie europejskie, co widać choćby po Majdanie i działaniach państw, które chcą przystąpić do Unii mimo kryzysu euro. I na to marzenie europejskie Polska nie ma odpowiedzi. Nasze rozumienie narodu i rozumienie Polski jest, w moim przekonaniu, archaiczne. Europa jest dla nas tylko kiesą, z której płyną pieniądze. Tak o niej mówią partie polityczne. Podczas wyborów do europarlamentu podkreślają, że idą wyrwać jak najwięcej pieniędzy i załatwić możliwie dużo polskich interesów, a nie w imię patriotyzmu europejskiego, konstytucyjnego. Nikt nie mówi, jakie są cele integracji Europy i jakie jest wyobrażenie obywatelskiego narodu polsko-europejskiego w perspektywie kilkunastu, kilkudziesięciu lat. Jesteśmy w schizofrenicznej sytuacji. Rozumiem uwarunkowania historyczne, przesunięcie na zachód, wysiedlenie Niemców, wymordowanie Żydów przez Niemców, stworzenie zupełnie nowej geografii tego państwa, nowego składu etnicznego, ale nałożenie na to żalosnej ideologii XIX-wiecznej, która do niczego nie pasuje, to jest dzisiejszy polski dramat.

Artur Szyndler: Zgadzam się oczywiście z przedmówcą i trudno tutaj dodać coś więcej. Mam jednak kilka drobnych uwag. Oczywiście z tego, co już tutaj zostało powiedziane, pewne jest, że hasło „Polska dla Polaków” jest anachronizmem, ale pa-

radoksalnie jest hasłem, które wciąż oddziałuje, wciąż jest nośne. Pytanie jednak, dla kogo, dla jakich grup, w jakim stopniu?

Należałoby się zastanowić, kto jest Polakiem, w jaki sposób należy Polaka zdefiniować? To, co zostało już powiedziane, wskazuje bezsprzecznie, z czym się oczywiście zgadzam, że nie można definiować Polaka w kategoriach czysto etnicznych, co próbuje narzucić skrajna prawica. Historia pokazuje, że każdy z nas jest zlepkiem rozmaitych kultur, wątków, miejsc itd., więc trudno powiedzieć, kim jest ktoś taki, jak etniczny Polak i jak należy go zdefiniować.

Dla mnie hasło „Polska dla Polaków” oznacza podział, odrzucenie i konflikt. Coś, co jest bardzo niebezpieczne. To jest hasło, które nie buduje, nie łączy, tylko jest nastawione na podział i wykluczenie. Myślę, że to jest największe niebezpieczeństwo płynące z tego hasła. Poza tym widziałbym tu także niebezpieczeństwo na różnych poziomach, podobnie jak wspominała pani Paula Sawicka.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska: Podzielę się refleksją troszkę nawiązującą do innego poziomu terminu „Polska dla Polaków”, który rzeczywiście kojarzony jest głównie z grupami skrajnie radykalnymi, nacjonalistycznymi czy ultraprawicowymi. Natomiast warto, myślę, zastanowić się nad tym, czy to tylko ich dotyczy. Na ile hasło „Polska dla Polaków” dotyczy nas, czyli zwykłych obywateli, i nie chcę tutaj mówić o skrajnym wymiarze, o tych napisach na murach czy o mowie nienawiści, ale o wymiarze mentalnym. Bo o ile Polska jest krajem, który nie ma w prawodawstwie przepisów dyskryminujących „innych”, to przepaść między teorią a praktyką jest ogromna. To pokazuje codzienność. O ile, i przepraszam za tę generalizację – mówiąc „my”, chodzi mi o tak zwanych zwykłych obywateli, jesteśmy w stanie zaakceptować i mówić o swojej otwartości wobec: Żydów, Romów, imigrantów i innych grup pod warunkiem, że nie odbiegają od norm, które są ogólnie przyjęte, pod warunkiem, że się nie odróżniają. O tyle dla mnie „Polska dla Polaków” to hasło, które dotyczy, wybiega poza te granice związane ze skrajnymi ugrupowaniami czy narodowymi, czy odłamami różnych wspomnianych tu grup. My, Polacy, lubimy nazywać się krajem nowoczesnym, otwartym, europejskim; bardzo chętnie z dobrodziejstw tej nowoczesności korzystamy i podkreślamy to, wyjeżdżając choćby na Zachód w poszukiwaniu lepszego jutra. Korzystamy z dobrodziejstw nowoczesnej, otwartej Europy. Jednak kiedy inni przyjeżdżają i znajdują się w naszym kraju, na naszym terytorium, jest trochę większy problem. Zaostrzył się on po rozpoczęciu kryzysu ekonomicznego. Wszystkim żyje się trudniej i gorzej, więc obcy, którzy przyjeżdżają i próbują korzystać z dobrodziejstw ekonomicznych naszego kraju, nie są już mile widziani, a jeśli jeszcze zachowują się inaczej, odbiegają od norm, które określamy jako obowiązujące, tych, które określają polskość, to mamy z tym problem. I tutaj właśnie o tym chciałam powiedzieć.

Na początku mówiłam o wymiarze prawnym, który jest bardzo otwarty dla osób z zewnątrz. Zupełnie inaczej jest z wymiarem mentalnym. I warto się zastanowić, czym

jest polskość, bo przecież wspomniane już marsze 11 listopada pokazują, że ta polskość wcale nie ma tylko wymiaru etnicznego, narodowego czy rasowego. Są pewne normy ogólnie przyjęte jako obowiązujące i wszyscy ci, którzy w jakiś sposób je przekraczają, nie wpisują się w definicję prawdziwego Polaka.

Piotr Trojański: W Państwa wypowiedziach przewijało się wiele różnych wątków. Padło m.in. stwierdzenie, że pytanie „Polska dla Polaków?” jest anachroniczne, ale wciąż obecne, więc musimy się zastanowić, co z tym zrobić. Poza tym warto zadać pytanie, kim jest ten Polak, mityczny lub realny, do którego się odwołujemy? W Konstytucji wyraźnie zapisano, że to właśnie obywatelstwo jest kryterium przynależności do narodu. Może zatem warto znacznie szerzej spojrzeć na problem tożsamości narodowej, nie ograniczając go wyłącznie do przynależności etnicznej? Jednak gdybyśmy nawet przyjęli obywatelstwo za kryterium identyfikacji narodowej, to co zrobimy z imigrantami, którzy jeszcze obywatelstwa nie posiadają?

Zbigniew Gluza: No tak, pytanie: „Polska dla Polaków?” jest anachroniczne. Spodobało mi się podsumowanie Adama Krzemińskiego dotyczące zdarzeń na ulicach Warszawy 11 listopada 2013 r. Szedłem akurat w pochodzie Prezydenta, a potem przyjrzałem się Marszowi Niepodległości – oczywiście marsz z Prezydentem był przeciw tamtemu. Jednak co do sensu manifestowania, w obu przypadkach – najprostszy, plakatowy.

Co do Marszu Niepodległości – ten zdawał się odwoływać do czegoś szczególnie absurdalnego: do polskiej mocarstwowości. To kolejne stadium anachronizmu – ten rodzaj współczesnej emanacji siły. Odwoływanie się do poczucia, że Polska jest mocarstwem ducha, można by uznać za groteskowe, ale to zarazem klucz do zrozumienia tego, czym bywa Polska.

Przywołam rzecz dawną, raczej w Polsce nieznaną, która wydaje się dobrą perspektywą spojrzenia na to, co w ostatnim stuleciu stało się z Rzeczpospolitą. Adam Uziembło, działacz PPS, w II RP publicysta, na siedem lat przez wybuchem II wojny ponowił, zarzuconą uprzednio, koncepcję federacyjną regionu. Napisał w periodyku, który wówczas wydawał: *Polska, której ze względu na jej położenie geograficzne, wielkość, kulturę [...] przypada rola inicjatora zjednoczenia narodów bałtycko-śródziemnomorskich, winna pracę zreformowania ustroju w duchu sprawiedliwości narodowej zacząć od siebie.* I dalej: *Kilka lat zaledwie dzieli nas od groźnej chwili, gdy przepowiednie czerwonych carów i generałów kaisera poczną się ziszczać. Tę chwilę musimy uprzędzić.* Jak wiadomo, ziściło się bez antytotallitarnego uprzedzenia.

Polska nie była silna, ale wzmocnić się mogła przeciw dwóm totalitarnym agresorom wspólnie z sąsiadami, nie uznała ich jednak za sojuszników. Uziembło ostrzegwał, że jedynym ratunkiem dla Polski jest wejście w porozumienie z możliwie wszystkimi państwami pomiędzy Rosją bolszewicką a nazistowskimi Niemcami. I nic, nie uznano

tych proroczych racji. Trwała polityka mocarstwowa, snuto marzenia kolonialne Polski. A we wrześniu 1939 r. – całkowity upadek państwa. To byłaby lepsza podstawa dla naszych myśli o tożsamości.

Sądzę, że jednak uda się obronić Rzeczpospolitą przed „Polską dla Polaków” w rozumieniu Marszu Niepodległości. Jest dzisiaj trochę łatwiej, skoro już nie ma obok totalitarnych potęg. Choć to, że jesteśmy wciąż daleko od ugruntowanego obywatelstwa konstytucyjnego, jest niepokojące. Z historii widać czerpiemy za mało.

Paula Sawicka: Ja też w to wierzę, ale uważam, że ta wiara nie może nas zwolnić z działania, z reagowania. W dyskusji temat się rozmył. Kierując się tytułem panelu, możemy rozmawiać o wielu sprawach, a czasu mamy mało. Można więc rozważać, kim jest Polak, co to jest naród, jaka ma być Polska, ale tych kwestii nie omówimy, nie zdołamy nawet zacząć ich omawiać. Rozważać w obliczu hasła „Polska dla Polaków”, kim jest Polak i co polskość może znaczyć, to tak jak grać w szachy z kimś, kto gra w dupaka. Ludzie, którzy to hasło głoszą, już ustalili jego znaczenie i reguły gry, doskonale wiedzą, do czego im służy i wcale się nie zastanawiają, czy zgadzamy się na te reguły. Zatem o tym właśnie rozmawiamy. Nie poszukujemy nowych znaczeń. Zastanówmy się nad hasłem „Polska dla Polaków” rozumianym tak, jak rozumieją je jego głosiciele. Problem wart jest dyskusji, między innymi z powodu zjawiska, o którym już mówiłam, a mianowicie zjawiska patologizowania normalności – powtórzę – przenikania do codziennego języka treści wnoszonych przez skrajne ugrupowania; treści, które wpływają na sposób myślenia i postępowania. Chcę powiedzieć, że hasło „Polska dla Polaków” prowadzi do wykluczenia i z tego powodu powinno być skazane na społeczny niebyt. A jednak tak się nie dzieje.

Zadałam sobie kiedyś zadanie – posłużyłam się do tego „Gazetą Wyborczą”, której na pewno nikt nie posądzi o świadome używanie języka wykluczającego albo dyskryminującego – przez tydzień wypisywałam zdania, w których użyto słowa Polak. To były artykuły, komentarze, ogłoszenia, wszelakiego rodzaju wiadomości. Otóż z tej lektury dowiedziałam się, że w Polsce już nie ma emerytów, uczniów i nauczycieli, nie ma klientów banków, nie ma kupujących samochody, są wyłącznie Polacy. Polacy kupują mniej samochodów, ale sprzedaż samochodów w Europie spadła. Polacy biorą mniej (więcej) kredytów w bankach, X procent Polaków przyznaje, że zdradza swoje żony. Słowo Polacy stało się wytrychem, czasem zdarzają się jeszcze Polki. Uważam, że ten językowy wytrych niesie wykluczenie. Kiedy o tym mówię, zazwyczaj spotykam się z niezrozumieniem, z opinią, że tworzę sztuczny problem. Otóż, kiedy przykładem o Polakach zdradzających żony posłużyłam się na konferencji w Białymstoku, natychmiast usłyszałam od jednej z uczestniczek: Jako Białorusince, bardzo miło mi to słyszeć. Zatem wykluczająca treść tego zdania dla nie-Polki była oczywista, chociaż jest polską obywatelką, mówi po polsku, polska kultura jest jej kulturą, w Polsce się urodziła i Polska jest jej krajem. W jej poczuciu to zdanie ją tego pozbawia.

jako innego, ale który jest częścią mojego biotopu, częścią mojego świata. Niemcy o tyle są tą częścią, że ja ich potrzebuję, tych wypędzonych, żeby zrozumieć, jaka byłaby historia, jakby nie było jednej trzeciej polskiego dzisiejszego terytorium. Ja używam trzech kategorii: uciekinierzy to są największe ofiary, pierwsza faza w zimie 1945 r., kiedy głównie Niemcy uciekali z Prus Wschodnich. Świadomie używam tu pojęcia wypędzenia. Przed Poczdamem władze polskie uprawiały politykę faktów dokonanych, które miały przygotować decyzje poczdamskie. I używam dla głównego członu wysiedleń pojęcia „wysiedlonych”. Mnie pojęcie „wypędzenia” nie obraża. Dlatego pisałem list, razem z Adamem Michnikiem, w sprawie centrum wrocławskiego, ponieważ uważałem, że nam Polakom czy mieszkańcom Polski potrzebna jest pamięć tego, co się stało, ponieważ to jest również nasza pamięć. Trudno jest być dzisiaj mieszkańcem Zielonej Góry lub Gorzowa Wielkopolskiego, nie znając historii ludzi, którzy tam byli przed nami. Sam jestem tego przykładem. Moja rodzina pochodziła z dalekiej Ukrainy, ja się wychowywałem przez kilka lat dzieciństwa we Wrocławiu i było to na tyle silne, że wciągnęło mnie w germanistykę. I całe moje dzisiejsze życie jest skierowane na Zachód.

Ale w ostatnich latach ten impuls do dialogu i do współżycia z innymi osłabł w partiach głównego nurtu. Ten główny nurt polskiej polityki istnieje w polityce historycznej – w moim przekonaniu anachronicznej – to jest większe niebezpieczeństwo niż krzykacze, dlatego że ci krzykacze to jest kompletna anomalia, to jest śmieszniejsze niż mocarstwowość Putina, która też jest śmieszna, bo jest pusta. Poza siłą militarną tam nie ma nic w odróżnieniu od imperium carskiego czy stalinowskiego. Za tym się nic nie kryje. To nie zmobilizuje Rosji do marszu na Zachód.

Natomiast ta polska mocarstwowość... Ja bym mógł zrozumieć przeniesienie tradycji dawnej Rzeczypospolitej na europejskość – rozumiemy partnerów europejskich, budujemy Europę. Nie o taką mocarstwowość tu jednak chodzi, tylko o kolejne machanie szabelką, bo Wiedeń, bo Grunwald, bo jacy to byliśmy wspaniali. To nie jest patriotyzm konstytucyjny, który polega na tym, że obywatel rozumie, akceptuje i jest dumny z pewnego zespołu praw, na których opiera się społeczeństwo i zbiorowość państwowa, w tym wypadku federacja europejska, a tego u nas nie ma. Mamy co prawda Konstytucję 3 maja, ale gdyby zapytać kogokolwiek tutaj: powiedzcie, o co tam chodziło? Jedną wartość Konstytucji 3 maja, która jest uniwersalna, nie tylko z punktu widzenia końca XVIII w., to przekaz dla dzisiejszej Europy. To był akt reformatorski, wspaniały i jeszcze, niestety, niedokończony. Mamy prawo być z tego dumni, ale fakty te nie są zaszczerpane zbyt głęboko w polskiej świadomości. Kościuszkowski jest ważniejszy od Kołłątaja.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska: Ja nie jestem taką optymistką, że ugrupowania skrajnie prawicowe po prostu odejdą w cień. Obserwując sondaże, mówię tutaj o gruncie europejskim, widzimy wzrost popularności tych partii. W Polsce 35 art. Konstytucji odwołuje się do szacunku dla odmienności, dla tych tzw. innych, obcych. Mamy też

Ustawę o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym, która, formułując obowiązki mniejszości narodowych i etnicznych, określa także ich przywileje i obszar w sensie mentalnym, gdzie mogą żyć zgodnie z własnymi wartościami, przekonaniem, oczywiście nie wchodząc w konflikt z prawem, co niejednokrotnie bywa trudne. Z jednej strony sprzeciwiamy się nienawiści, mówimy, że ona jest zła, że jej nie chcemy, że absolutnie nas nie dotyczy. A z drugiej wyroki polskich sądów mówią, że swastyka jest azjatyckim symbolem szczęścia, antysemitki okrzyki na stadionach nie są wymierzone w Żydów, tylko są związane z konfliktem między drużynami. Media też odgrywają tutaj ogromną rolę, bo niejednokrotnie stygmatyzują tych innych i powielają stereotypy, tworząc uprzedzenia i stając się przyczyną zachowań dyskryminujących. Na zakończenie powiem tylko, że ja nie chcę żyć w kraju i boję się kraju, w którym polskość broni się, bijąc czy prześladując: gejów, ciemnoskórych, Czezeńców, tych wszystkich, którzy wychodzą poza nawias, który polskość określa.

Artur Szynkler: Chciałbym się odnieść do wątku edukacyjnego, który gdzieś umknął. Jestem zaangażowany w rozmaite działania edukacyjne w miejscu, w którym pracuję, czyli w Centrum Żydowskim w Oświęcimiu. W naturalny sposób skupiamy się na lokalnej historii żydowskiej, ale stanowi to pewien punkt wyjścia, tzn. historia żydowska ma być uniwersalnym przykładem, aby przejść do różnych działań edukacyjnych o charakterze antydyskryminacyjnym. Wychodzimy z założenia, że punktem wyjścia jest zawsze historia. To, co pan Zbigniew Gluza też wspominał, że niewiele uwagi poświęca się poważnej refleksji nad różnymi wydarzeniami czy faktami historycznymi, temu, co z tych doświadczeń wynika. Ponadto trudno jest młodzieży połączyć historię ze współczesnością, tzn. wielokrotnie wydaje się jej, że fakty historyczne, wydarzenia, które miały miejsce, zakończyły się i nie mają współcześnie żadnych konsekwencji. Natomiast my próbujemy pokazać, że one na nas oddziałują, że są aktualne. Problemy, które istniały w III Rzeszy, a także te, które pojawiły się przy okazji funkcjonowania innych totalitaryzmów, nie zniknęły, one są wciąż w naszym społeczeństwie, często przybierają jedynie inne formy. Przy okazji programów antydyskryminacyjnych próbujemy to połączyć, wychodzimy od historii, ale chcemy pokazać, żeby popatrzeć na to nasze podwórko współczesne i aktualne zagrożenia.

Kilka lat temu, wspólnie z Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego, prowadziliśmy badania, które pokazywały stopień uprzedzeń w lokalnej społeczności. Warto przy tej okazji wspomnieć o kilku ciekawych wnioskach. Ważna jest edukacja w tym specyficznym miejscu, jakim jest Oświęcim. Bo mamy tu kilka historii, kilka narracji. Z jednej strony historię lokalną, ale z drugiej strony historię Auschwitz, więc tutaj wyraźnie z badań wychodziło, że należy to łączyć, że ta historia Auschwitz musi być opowiadana w połączeniu z historią lokalną. To jest jeden aspekt. Drugi dotyczył stosunku do tzw. obcych. O ile poziom uprzedzeń w stosunku do Niemców czy Żydów kształtował się poniżej średniej krajowej, to bardzo duży ob-

szar negatywnych tendencji ujawnił się w stosunku do Romów. Tutaj należy położyć bardzo duży nacisk na edukację i rozmaite programy, które by w tym obszarze działały. Oczywiście można powiedzieć, że niewystarczająco dużo się dzieje, niemniej jednak z naszej perspektywy połączenie historii i współczesności daje dość dobre efekty. Często, gdy na końcu zajęć prosimy młodzież o wyjaśnienie, dlaczego mówiliśmy o historii żydowskiej, potem była wizyta w byłym obozie Auschwitz, a na koniec analizujemy współczesną mowę nienawiści, spora grupa ma problem z połączeniem tych elementów.

Beata Machul-Telus: Chciałabym dorzucić kilka zdań do wątku edukacyjnego. Rzeczywiście na poziomie edukacji publicznej i formalnej nie jest najlepiej, tzn. nie ma odpowiedniej ścieżki do edukacji wielokulturowej, nie ma wyodrębnionych zajęć na ten temat, również podręczniki nie dostarczają odpowiedniej wiedzy. Natomiast na pewno jest o wiele lepiej niż było kilka lat temu na poziomie edukacji nieformalnej, ponieważ działają liczne organizacje pozarządowe. Wszyscy, którzy tutaj siedzimy, jesteśmy reprezentantami co najmniej kilku, które nic innego nie robią, tylko prowadzą szkolenia i warsztaty. Coraz większe jest też otwarcie i potrzeba edukacji nauczycieli, zauważających braki w tym obszarze. Ci, którzy chcą się czegoś dowiedzieć i potrzebują szkoleń, to je bez trudu znajdują. Jest ich dużo, zarówno dla dzieci, młodzieży, jak i dla nauczycieli. Oferta jest w miarę bogata i nauczyciele bardzo często z niej korzystają.

Chciałabym jeszcze coś dopowiedzieć o identyfikacji i tożsamości osób, które wyjeżdżają. Ogromna jest sfera odczuć i emocji, kiedy mówimy o tożsamości. Tożsamość to stan odczuwany wewnątrz, bycie kimś, także poczucie przynależności. Ona zawsze z nami pozostanie bez względu na to, gdzie będziemy, czy wyjedziemy gdzie indziej do pracy, czy nie wyjedziemy. Ja to obserwuję np. na podstawie rosnącej aktywności Kaszubów w Polsce, małej społeczności, która została wpisana do ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym, co spowodowało, że jej język podlega ochronie i jego nauka może być finansowana z budżetu państwa. Nagle młodzi ludzie zapragnęli się uczyć języka kaszubskiego, zaczęli szukać swoich korzeni. A przecież trudno powiedzieć, że język kaszubski może być szczególnie przydatny w życiu zawodowym, jak to ma miejsce w przypadku języka angielskiego czy niemieckiego. Czyli raczej jest to wynikiem poczucia tożsamości i identyfikacji z grupą. Szkoły języka kaszubskiego rosną jak grzyby po deszczu. Uczy się w nich coraz więcej dzieci i jeżeli otworzylibyśmy taką ścieżkę dla Ślązaków, czyli grupy prawnie wyeliminowanej z naszego życia wielokulturowego, to myślę, że byłoby tak samo. Czyli to poczucie bycia jednocześnie np. Polakiem i Kaszubem, Polakiem i Ślązakiem daje podstawę wzmocnienia siebie samego, swojej tożsamości. Dlatego ja się nie obawiam, że Litwin czy Polak wyjedzie gdzieś za granicę i straci tę tożsamość, bo jeżeli będzie mieć taką głęboką potrzebę jej posiadania, to zostanie ona w nim wszędzie, gdziekolwiek by się nie znalazł.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska: Ale z drugiej strony obserwujemy takie zjawisko, że Polacy wyjeżdżają choćby do Stanów Zjednoczonych czy do Anglii, często trafiają do polskich dzielnic, bo tam jest bezpiecznie, łatwiej rozpocząć nowe życie, ale, co pokazują badania socjologiczne, jest taka tendencja, że synonimem awansu społecznego jest wyjście z tego tzw. polskiego getta. Teraz nasuwa się pytanie, czy on tym Polakiem dalej chce być i co dla niego oznacza polskość? Jeszcze jedno słowo a propos edukacji – tutaj też nie jestem optymistką, bo już kilkadziesiąt lat temu znany badacz stosunków międzykulturowych Alvin Toffler powiedział, że w przyszłości analfabetami będą nie ci, którzy nie potrafią czytać i pisać, lecz ci, którzy nie chcą się uczyć. Ja stawiam pytanie, czy my chcemy się uczyć? Oczywiście, że chcemy. I to nie tylko języka polskiego, matematyki, historii czy przyrody, ale chcemy również kształtować w przyszłych pokoleniach postawy otwartości i szacunku dla różnorodności, a tego wciąż brakuje. Jesteśmy jednym z niewielu krajów w Europie, który edukacji międzykulturowej czy antydyskryminacyjnej nie ma zapisanej w programie nauczania, i – o ile prawdą jest, że tę lukę w systemie edukacyjnym zapełniają organizacje pozarządowe – o tyle trzeba powiedzieć szczerze, że to się dzieje od przypadku do przypadku: albo dotacja jest, albo jej nie ma, albo środki są, albo przyjdą z opóźnieniem i robi się półroczna przerwa. Nauczyciele chcieliby uczyć, ale nie wiedzą jak, bo ich też się nie kształci pod tym kątem, nie mają materiałów, bo gdzie ich szukać? Poza tym program nauczania jest, mówiąc potocznie, tak nabity i przepelniony, że nie ma w ogóle na to czasu. W związku z tym, czy chcemy się uczyć, jak kształtować postawy otwartości i szacunku dla inności u przyszłych pokoleń? Ktoś tu powiedział, że narodowcy są świetnie wyedukowani i często trafiają tam ci, którzy nie mogą na podstawowe pytania dotyczące egzystencji w tej trudnej wielokulturowej rzeczywistości znaleźć odpowiedzi. A narodowcy są świetnie do tego przygotowani i edukują tych, którzy zostają w ich szeregach. Dlaczego my tego nie robimy? [...]

*Dyskusja odbyła się 10 maja 2014 r.
w ramach I Oświęcimskiego Forum Praw Człowieka
w Bibliotece Galeria Książki w Oświęcimiu*